



Cel wędrowki już widać, ale czekającą nas drogę trudno ocenić

Andrzej Kulig

DEMAWEND W KRAJU DOBRYCH ZMIAN **cz. I**



Na szczycie Demawendu – w oparach wulkanicznych gazów, od lewej: autor, Leszek, Barbara i Masoud

Demawend (wys. 5610 m n.p.m.) – wulkan drzemiący w górach Elburs, najwyższy szczyt Iranu, położony około 70 km na północny wschód od Teheranu. Wulkan zbudowany głównie z kwasowych law andezytowych. Duży kąt nachylenia stoków (stratowulkan) – ok. 30-40°. U podnóża występują licznie wody siarczanowe ¹.



W centrum bazy nr 2 na wysokości 3100 m n.p.m. czeka nas nocleg w sali przylegającej do meczetu Al Zaman

Droga do Iranu

Tegoroczna wyprawa na najwyższy szczyt Iranu – Demawend (pers. Damavand) jest bezpośrednią konsekwencją wyprawy w 2015 r. na najwyższy szczyt Turcji – Ararat (5137 m n.p.m.) ^{2 3}. Pierwszym sojusznikiem w tych planach okazała się Ewa, która z uwagi na realizację planu zdobycia Wielkiej Korony Tatr i Korony Europy jest bardzo aktywna w górach. W styczniu bieżącego roku przygotowywałem się do marcowego wyjazdu na safarii w Tanzanii i wypoczynek na Zanzibarze, zorganizowanego z okazji 10-lecia wyprawy na Kilimandżaro. W Afryce powrócił temat Demawendu, ale ostateczną decyzję o rozpoczęciu przygotowań Leszek podjął dopiero na początku kwietnia br. – ruszyło formowanie grupy, studiowanie literatury, gromadzenie sprzętu i ubioru oraz na końcu spotkanie przedwyprawowe. W ramach przygotowań sięgam po książkę Ryszarda Kapuścińskiego pod tytułem „Szachinszach” ⁴. Wybór dostępnych przewodników nie jest duży, w zasadzie



Schronisko Bargah w bazie nr 3 na południowym zboczu Demawendu



Grupa wspinaczy atakujących szczyt – powyżej 5000 m n.p.m.

są tylko dwa: Szczepana Lemańczyka⁵ i Zbigniewa Mielczarka⁶. Dopiero po powrocie do Polski trafią do moich rąk inne książki dotyczące Iranu^{7,8}. Przygotowania przebiegają w tradycyjnej formie, ale wyprawa zapowiada się nietypowo z kilku powodów. Islamska Republika Iranu to kraj wyznaniowy – muzułmański, w którym sprzedaż i spożywanie alkoholu są nielegalne. Z tego powodu musimy zrezygnować z tradycyjnych środków „dezynfekcyjnych”: Jack’a Daniels’a, pigwówki i innych podobnych medykamentów, mimo że żyjący 1000 lat temu perski lekarz, uczyony i filozof Awicenna (Abu Ali Ibn Sina) nie miałby nic przeciwko temu⁹. Z przewodników i artykułów wynika, że w Iranie nie ma wielu innych rzeczy (np. wolnego internetu, nocnych rozrywek, kart kredytowych, sedesów, papieru toaletowego...), tak więc z zapalem sięgam po poradnik „Sztuka minimalizmu w podróży”¹⁰. Ale, jak uczy doświadczenie, dobrze niektóre informacje zweryfikować osobiście podczas podróży. W tym przypadku nie wszystkie się potwierdzają.

W piątek 15 lipca 2016 roku ośmiu uczestników wyprawy spotyka się na lotnisku im. F. Chopina w Warszawie punktualnie o 5³⁰ i odprawiamy się do Wiednia. Ponieważ nasz samolot już na starcie „złapał” opóźnienie, na lotnisku w Wiedniu gramy scenę jak z filmu „Kevin sam w Nowym Jorku”. Biegiem zmieniamy terminale. Po raz pierwszy jako ostatni wsiamam do samolotu, który ma nas zawieźć do Teheranu. W samolocie dołączamy do czterech pozostałych uczestników wyprawy, którzy do Austrii przylecieli z Krakowa. Na lotnisku w stolicy Iranu załatwiamy wizy i okazuje się, że pierwszy etap podróży kończy się dobrze.

W stronę Demawendu

Salam alejkum – na lotnisku spotykamy Masouda, który jest organizatorem naszej wyprawy w Iranie i naszym przewodnikiem – „guidem”. Z bagażami, które także szczęśliwie doleciały, wsiamy do minibusa i jedziemy do miejscowości Reyneh, liczonej jako baza nr 1 na wys. 2 tys. m n.p.m. W motelu o nazwie Damavand, a właściwie w domu Masouda mamy pierwszy nocleg na ziemi irańskiej. Podczas kolacji w stylu muzułmańskim („stołujemy” się na podłodze) przypomina mi się „powitalna” herbata na Saharze, nazywana „marokańską whiskey” w arabskiej oprawie¹¹. Nakarmieni rozkładamy swoje materace i śpiwory. Idziemy spać, bo czeka nas kilka emocjonujących dni i wydarzeń.

Następnego dnia rano przepakowujemy bagaże, dzieląc je na trzy części: tę na wędrowkę, tę do transportu samochodem lub przez muły do schroniska i tę do pozostawienia u Masouda w domu. Po śniadaniu jedziemy samochodem typu „przewóz ludzi luzem” – czyli na pace, w kierunku Demawendu. Gdy kończy się asfalt, a droga przekształca się w gruntową, wyruszamy na pieszą wędrowkę do bazy nr 2. Na tym odcinku nasze bagaże są transportowane samochodem. Wędrowka „przedptami” wśród krzewów, ostów i nielicznych traw, mimo że szybko nabieramy wysokości, jest dość łatwa. Widać, że zbocze góry jest suche, półpustynne. Do niewielkiego meczetu, który stanowi centrum bazy II Base Camp na wysokości 3100 m n.p.m., docieramy po ok. dwóch godzinach wędrowki. Stąd stożek Demawendu nie prezentuje się zbyt okazale. Szczyt jest jakieś 2,5 km wyżej i jest oddalony o kilkanaście godzin marszu. Rozpakowujemy

część bagaży i rozlokowujemy się w sali przylegającej bezpośrednio do meczetu. Masoud częstuje nas herbatą i zapowiada kolację na godz. 17⁰⁰. Jest ciepło. U Iranki, prowadzącej niewielki kiosk, kupujemy pierwsze koszulki – T-shirty i zapoznajemy się z miejscową walutą. A trzeba dodać, że nie jest to proste. Oficjalną walutą jest rial (1 euro ~ 38500 IRR), ale dodatkowo w obiegu są tomany (1 t = 10 IRR). Natomiast Chomeinich (równowartość 1000 t ~ 1 zł) na szczęście nie spotkałem. Ciekawostką jest fakt, że na odwrotnej stronie banknotu o nominale 10 000 riali jest przedstawiony Demawend. Jak widać, w Iranie szybko można zostać milionerem. Zanim przystąpi się do jakichkolwiek negocjacji cenowych, dobrze jest ustalić walutę, której chce się używać lub można żonglować wszystkimi walutami (IRR, t, €, \$) równocześnie, tylko do końca nie wiadomo, kto na tym dobrze wyjdzie. Dotychczasowa wędrowka, dość wysoka temperatura i perspektywa dalszej wspinaczki działała bardzo mobilizująco, więc po kolacji, ok. 21⁰⁰ kładziemy się spać, pamiętając, że w Polsce jest dopiero 18³⁰.

W niedzielę wstajemy powoli. Pobudka była ustalona na 6³⁰. Na szlak wychodzimy po godzinie ósmej. Ja praktycznie od początku spowalням i wędruję solo. Mimo to mijam grupy wspinających się oraz już schodzących. Obserwuję wspaniałe wysokogórskie krajobrazy. Przedemną masyw Demawendu, z tyłu zamieszkałe rozległe doliny i pasmo ponad czterotysięcznych gór. Pogoda fantastyczna. Słonecznie, bez deszczu i silnego wiatru. Po kilku godzinach marszu mija mnie Masoud, poruszający się na mule. Za nim jedzie, w pewnym oddaleniu, pomocnik z trzema mułami, niosącymi nasze bagaże. ▶

► Do schroniska docieram po około 5 godzinach wędrówki. Czeka na mnie kubek gorącej herbaty i możliwość odpoczynku przed wieczornym posiłkiem, czyli do godziny 16⁰⁰. Jesteśmy na wysokości 4 200 m n.p.m. W schronisku gwarno, bo pełnia sezonu. Kwaterujemy w dwupoziomowej sali z dwupoziomowymi łózkami – dla 60 wędrowców. Wśród nich przybysze z różnych krajów. Masoud opiekuje się też grupą Węgrów. Sporo jest Irańczyków, którzy w przeciwieństwie do Turków licznie chodzą po górach.

Na szczycie wulkanu

W poniedziałek 18 lipca przystępujemy do ataku szczytowego. Dzień rozpoczynamy wcześniej – wstajemy o godzinie czwartej rano i po niewielkim śniadaniu, o godz. 5⁰⁰ wyruszamy na szlak. Początkowo poruszamy się w ciemności z włączonymi czołówkami, w formie tzw. tramwaju, czyli jeden za drugim, mimo że nie jesteśmy powiązani linami. Po około godzinie lub półtorej nasz „tramwaj” rwie się. Część grupy idzie szybciej, część wolniej. Korzystając z wcześniejszych doświadczeń, np. podczas zdobywania Araratu, stosuję się do zasady, że wielkie szczyty zdobywa się małymi krokami. Po drodze mijam pojedynczych wędrowców, w tym wielu Irańczyków i Iranki. Będąc na ostatniej prostej, pod szczytem spotykam Mirka, Renatę i Monikę, którzy schodzą ze szczytu. Mimo ich zaskakującej sugestii aby zawracać, kontynuuję wspinaczkę. Podczas wejścia, przekraczając granicę 5 000 m n.p.m. napotyka się wyziewy wulkaniczne w postaci fumaroli i solfatar, którym towarzyszy zapach siarki. Na szczyt, w pobliże dymiącego otworu wulkanu, dochodzę w samo południe. Demawend uplasował się na trzecim miejscu wśród „moich” szczytów, po Aconcagule i Elbrusie. Robię zdjęcia, zbieram do kolekcji kawałki wulkanicznej siarki, której liczne osady „budują” szczyt prawdopodobnie aktywnego najwyższego wulkanu w Azji. Prawdopodobnie, ponieważ nie zachowały się żadne dokumentacje świadczące o jego erupcji, a wnioskuje się to na podstawie gazów wydobywających się w rejonie szczytu. To co u podnóża wydaje się być chmurą, w rzeczywistości jest obłokiem powstającym w wyniku emisji gazów wulkanicznych. Na koniec robimy pamiątkowe zdjęcie z Masoudem, Barbarą i Leszkiem. Schodząc, kierujemy się nie na szlak, którym podchodziliśmy, ale na podszczytowe

piargi, które powstały w wyniku procesów erozyjnych – wietrzenia fizycznego. Jest to droga trudna do wspinaczki, ale i męcząca podczas schodzenia – wymaga uwagi, aby nie pośliznąć się na sypkim kamienistym podłożu. W połowie drogi Leszek i Barbara postanawiają „schodzić” po płacie śniegowym. Powoli schodzę sam. Po kolejnej 1/3 drogi widzę w dole część naszej grupy, która zatrzymała się przy niewielkim strumieniu. Rozglądam się, przekonany, że schodzę jako ostatni. Nagle stwierdzam, że za mną, na skraju śnieżnego płata pozostał Leszek z Barbarą. Z ich zachowania wnioskuję, że mają problemy. Nie uruchamiając specjalnie wyobraźni, przyspieszam w celu wezwania pomocy. Z reporterskiego obowiązku należy stwierdzić, że w górach zdarzają się wypadki. Okazuje się, że Barbara uderzyła w skalny występ, upadając rozcięła łuk brwiowy, skaleczyła udo. Jest mocno pobijana, silnie krwawi, lewe oko wygląda niepokojąco źle. Nasz serwis medyczny jest dobry, lecz w wysokich górach Elburs nie znaleźliśmy mumio, cudownego biostymulatora leczącego rany. W grupie są dwie lekarki: Monika i Ewa. Trzecią jest Barbara, która w obecnej sytuacji może przynajmniej liczyć na pierwszą pomoc. Ale jej stan wymaga natychmiastowego transportu do szpitala. Początkowe rozważania na temat wezwania śmigłowca ratunkowego zostają ograniczone do zjazdu, najpierw na mule, a następnie samochodem terenowym. Po opanowaniu emocji związanych z wypadkiem większość naszej grupy postanawia kontynuować schodzenie do bazy przy meczecie. Ja z Zosią zostaję i udaję się na spotkanie z Musą Saltikiem, kurdyjskim przewodnikiem z Araratu, który na Demawend przyprowadził 30-osobową grupę młodych Polaków, w większości chorych na cukrzycę. Więcej na ten temat można przeczytać na stronie: <http://krakow.wyborcza.pl/krakow/1,44425,20452420,udowodnili-ze-mozna-cukrzycy-wspielisie-5610-m-n-p-m.html>.

W kierunku irańskiej kultury

Pobudkę o 6³⁰ zapewniają ci, którzy wychodzą na trekking aklimatyzacyjny. Ci, którzy poszli na szczyt, zrobili raban dwie godziny wcześniej. Pakuję bagaże i razem z Zosią schodzę do kantyny na śniadanie. Po wyjściu ze schroniska zostawiamy główne bagaże przy

schodach w nadziei, że zabierze je nasz mulnik, i ruszamy w dół. Oto kwintesencja mojego „resetu” w górach: szczyt, który można podziwiać, oglądając się za siebie – zdobyty, wspaniałe widoki przed nami, indywidualne tempo wędrówki, z możliwością fotografowania oraz kontemplacji lotu ptaków i... śmigłowca. Po dotarciu do obozu drugiego czekamy na samochód terenowy, który zwiezie nas do Reyneh. Tam, w domu Masouda wypoczywamy na salonach. Jedni zajęci są porządkowaniem wysokogórskiego bagażu, inni lekturą, a jeszcze inni drzemią. Wszyscy nasłuchują wieści ze szpitala, gdzie Barbara została już zoperowana. Późnym popołudniem udajemy się do sąsiedniej miejscowości na kąpiel w wodach termalnych. Doświadczenie niczym z tureckiego Diyadin – z trudem znoszę gorące kąpiele, mimo że dobre dla zmęczonego ciała.

Po wysokogórskich wędrówkach i krótkotrwałym „złapaniu oddechu” planujemy przystąpić do eksploracji irańskiego krajobrazu kulturowego i zabytków oraz poznać współczesne oblicze państwa wyznaniowego.

Andrzej KULIG

Fotografie ze zbioru A. Kuliga
Ischia (Włochy), wrzesień 2016 r.
c.d.n.

Część II – Zabytki w kraju dobrych zmian
w następnym numerze.

¹ wikipedia.org/wiki/Demawend

² Kulig A.: *A jednak Ararat...* „EL” nr 256-257, r. XXIV, s. 30-33 i 37, styczeń-luty 2016 r.

³ <https://www.facebook.com/notes/wwwararattrekpl/a-jednak-ararat/1206414389388575>

⁴ Kapuściński R.: *Szachinszach*, Czytelnik. Warszawa, 1996 r.

⁵ Lemańczyk Sz.: *Iran*. Wydawnictwo Sorus. Wydanie III. Poznań, 2016 r.

⁶ Mielczarek Zb.: *Iran nowoczesnych ajatollahów*. Przewodnik. Sorus. Poznań, 2016 r.

⁷ Kęskrawiec M.: *Czwarty pożar Teheranu*. Wydawnictwo W.A.B. Warszawa, 2010 r.

⁸ Navai R.: *Miasto kłamstw. Cała prawda o Teheranie*. Prószyński i S-ka. Warszawa, 2014 r.

⁹ Orzech A.: *Iran – uroczą schizofrenia*. Traveler National Geographic. Nr 01 (86), s. 58-63, styczeń 2015 r.

¹⁰ Clelland M.: *Sztuka minimalizmu w podróży. 153 genialne porady, jak się pakować, aby plecak był superlekki*. Wydawnictwo Sklepu Podróżnika. Warszawa, 2016 r.

¹¹ Kulig A.: *Maroko 2010 – Sahara*. „EL” nr 196-197, r. XIX, s. 32-33 i 36-37, styczeń-luty 2011 r.



Zbocze Demawendu określanego jako perła Iranu, na którym rozgrywane są walki w komputerowej grze wojennej Battlefield 3.
Na zboczu Demawendu (wys. 3300 – 3600 m n.p.m.) – wśród kamieni i suchych traw piękne maki



Podczas wyprawy pomagają nam Persowie i muły



Nawietrzna strona krateru dymiącego i drzemiącego wulkanu



Wśród skał, płatów śniegu i wszędobyłskiej siarki, od lewej: Barbara, autor i Leszek



Po wędrowce – siedząc na perskich dywanach „po turecku” i jak komu wygodniej, ukradkiem spoglądamy na sułtańskie fotele i sofy